

Zygmunt Bauman

University of Leeds

O pokoleniu ani-ani i albo-albo

Jak cytować:	Bauman, Z. (2017). O pokoleniu ani–ani i albo–albo. <i>Forum Oświatowe</i> , 29(1), 35–47. Pobrano z: http://forumoswiatowe.pl/index.php/czasopismo/article/view/569
How to cite:	Bauman, Z. (2017). O pokoleniu ani–ani i albo–albo. <i>Forum Oświatowe</i> , 29(1), 35–47. Retrieved from http://forumoswiatowe.pl/index.php/czasopismo/article/view/569

Wspaniała to Szkoła – wiedza, w jaką wyposaża adeptów oświaty, by ją, zgodnie ze swym powołaniem, przyszłym swym uczniom przekazali, jest najwyższej jakości; a przykład spełnienia powołania nauczyciela i wychowawcy, jaki im własną pracą ta Szkoła daje, jest najwyższego kalibru. A jest przecież Dolnośląska Szkoła Wyższa także i wielkim warsztatem badawczym, wiecznie na pełnej parze, i kuźnią rzetelnej wiedzy o naszym, kłopotliwie niekonsekwentnym w swych ustaleniach, a zarazem nieźnośnie zatwardziałym w swych przywarach, świecie. Oto przyczyna zakłopotania i onieśmielenia, jakie mnie ogarniają, gdy mam wystąpić tu właśnie – przemawiać do kadry i studentów jednej z najlepszych szkół wyższych w kraju, zwracając się do słuchaczy, którzy z problemami, o jakich mam zamiar tu mówić, na co dzień się zmagając, wiedzą o nich z pewnością więcej niż mówca, a i lepiej ode mnie potrafią dawać sobie z nimi radę. Proszę Państwa z góry o przebaczenie, jeśli stwierdzicie, że to, co w mym wykładzie wartościowe (jeśli coś takiego w nim było...), było wam już znane, a znów to, co było dla was nowe, niewarte było poznawania. No i przepraszam z góry za to, że więcej będzie w tym, co powiem, pytań niż odpowiedzi...

O dwóch kwestiach zamierzam w tym wykładzie mówić. W pierwszym przypadku, pragnę podążać drogą przetartą przez przenikliwie pionierskie studia profesora Zbigniewa Kwiecińskiego i podzielić się z państwem paroma wielce ogólnymi, nietety, obserwacjami, dotyczącymi dokonujących się aktualnie, na naszych oczach i przy naszym świadomym czy mimowolnym udziale, zmian w roli granej przez system edukacji w stwarzaniu i odtwarzaniu uprzywilejowań i upośledzeń społecznych. W drugim zaś chcę dorzucić parę uwag do tematu innej zmiany: a mianowicie zmiany, by tak rzec, morfologicznej w środowisku, w jakim nauczycielom i wychowawcom przychodzi dziś pracować w wyniku rozszczepienia procesów życiowych na dwie, wielce od siebie różniące się sfery – zwane *online* i *offline*, lub bardziej po kumotersku „w webie” i „w realu”.

W raporcie, zatytułowanym *Pas de rentrée pour les „Ni-Nis”* (Nie ma powrotu/dochodu dla tych, co „ani w uczelniach, ani w pracy”), „Le Monde” opisało już dwa lata temu historię 17-letniego Yetzela Decerry’ego, żyjącego z rodzicami w północnym Meksyku, jednego z działaczy powstałego w 2006 roku Ruchu Wykluczonych ze Szkolnictwa Wyższego. „Nie ma dla mnie miejsca w szkołach publicznych, nie stać mnie na prywatne, nie ma też dla mnie pracy” – tak Decerra opisuje los własny i setek tysięcy swoich rówieśników. Państwowe uczelnie, choć niekoniecznie prywatne, są na bardzo wysokim poziomie, jednak jest ich niewiele (z 122,75 tys. kandydatów ubiegających się o miejsce na Narodowym Autonomicznym Uniwersytecie w Meksyku dostało się zaledwie 10,3 tys., a w skali ogólnokrajowej jedynie jedna trzecia zdających może liczyć na przyjęcie). Spośród 28 mln młodych Meksykanów w wieku

od 15 do 29 lat aż 19 mln nie uczęszcza do żadnej szkoły, a 7,5 mln bezskutecznie szuka pracy. Ruch Wykluczonych, w którym działa Decerra, walczy o miejsca na wyższych uczelniach dla 200 tys. ubogich, lecz palących się do nauki młodych ludzi.

Kilka tysięcy kilometrów od Meksyku... Opracowany przez grupę ekspertów na zlecenie polskiego rządu raport informował, że już w maju 2010 roku młodzi ludzie w wieku od 18 do 34 roku życia stanowili aż 50% polskich bezrobotnych, połowie z nich zaś jeszcze nigdy nie udało się zdobyć jakiegokolwiek zatrudnienia. A na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat liczba studentów w Polsce uległa podwojeniu, zaś liczba absolwentów uczelni wyższych zwiększyła się przeszło 2,5-krotnie. Wynagrodzenie 60% młodych ludzi pochodziło już wtedy z prac okresowych lub dorywczych, co pozbawiło ich zarówno szansy na postęp w karierze, jak i jakiegokolwiek gwarancji trwałości zatrudnienia, a większość z tych robót chwilowych była znacznie poniżej zdobytych przez nich ciężkim trudem kwalifikacji i uprawnień, a zatem i uzasadnionych ambicji życiowych.

Meksyk, Polska... Nie wyjątki to, lecz reguła. Zjawisko przybiera dziś rozmiary prawdziwie globalne. Młodzi ludzie w wieku od 16 do 25 lat stanowią dziś 17% ludności Planety, ale 40% ludzi bez pracy... Składają się oni na najbardziej wykształcone, a zarazem najbardziej bezrobotne pokolenie w dziejach świata. W Grecji 30% młodych posiada dyplomy uniwersyteckie, a 70% daremnie szuka posad, jakie uzasadniałyby wieloletni wysiłek włożony w ich zdobycie. W Hiszpanii odpowiednie liczby wynoszą 40% i 60%. We Francji niemal dwa miliony młodych zalicza się dziś do kategorii „ani-ani”, z których 900 tys. zaprzestało, jak doniósł ostatnio „Le Monde”, poszukiwania zatrudnienia: zniechęciła ich daremność starań, dziesiątki podań o pracę pozostałych bez odpowiedzi. „Po co się wysilać, skoro prawdopodobieństwo sukcesu jest zerowe?” – pytają.

Po raz pierwszy od zakończenia wojny dobiegają zewsząd w Europie, i nie tylko w niej, wieści o „nadprodukcji” inteligencji – o młodych ludziach o wysokich umiejętnościach i rosnących oczekiwaniach, którzy stają wobec raptownie kurczących się szans; o młodych ludziach z perspektywą długotrwałego bezrobocia lub godzenia się na prace dorywcze i grubo poniżej ich umiejętności i ambicji. A jako że uczelnie i miejsca pracy to jedyne dwie kładki, przerzucone nad grząskim gruntem, oddzielającym przytulne dzieciństwo od wyzwania dorosłego życia, nie dziw, że nabrzmiewa wśród młodzieży gorycz krzywdy i odtrącenia, bycia niechcianymi i „bez przydziału” w broniącym im wstępu a obojętnym na ich losy społeczeństwie. Pierwsze to po wojnie pokolenie, które, miast wzorem swych poprzedników traktować punkt dojścia swych rodziców jako zaledwie punkt startu do lepszego i z roku na rok ulepszanego własnego życia, staje wobec groźby społecznej degradacji... Gniew, jaki dziś tu i ówdzie wśród młodzieży wybucha, miał dość czasu, by spęcznieć do wybuchowych rozmiarów. By się przenośniał Jurija Łotmana, tallińskiego kulturologa, posłużyć – sytuacja niczym na polu minowym: wiadomo, że wybuch nastąpi, tyle że nie sposób przewidzieć, kiedy, gdzie i z czyjego dotknięcia...

Wielki nasz badacz kultury, Stefan Czarnowski, dawno ostrzegał, do czego taka sytuacja może doprowadzić. W sporządzonym u schyłku Drugiej Rzeczypospolitej

studium *Ludzie zbędni w służbie przemocy*, z rzadką u innych kulturologów empatią, wniknął on w doznania i stan ducha ludzi, zatrzymanych brutalnie u progu dorosłego społeczeństwa i upokorzonych obelgą „zbędności” – jeśli nawet nieoznajmioną im otwarcie, to przezierającą jaskrawo z ich położenia; ludzi, którym odmówiono godnej, szacunkiem darzonej pozycji w społeczeństwie – a dla których ci tam „na górze” nie przygotowali godziwego miejsca, o radosnym powitaniu już nie wspominając.

Wzrost kosztów wykształcenia i równie szybkie ogołocenie dyplomów z dołączanej do nich do niedawna gwarancji zawodowej kariery zapowiadają kres wieloletniego procesu odsączania z warstw upośledzonych ich najzdolniejszych i co ambitniejszych jednostek, jakie się, siłą rzeczy, dokonywało w czasach szerokiego awansu społecznego (a także do niedawna, w przypadku Polski, dzięki otwarciu europejskich rynków pracy). Pozbawione szans awansu w kraju, ale i zagranicą, stać się mogą te jednostki heroldami i orędownikami protestu społecznego, a mogą też scalić zbiorowisko zagubionych i w samotności cierpiących ofiar w zdolną do zbiorowego działania siłę polityczną. Co sprytniejsi i bardziej przebiegłi politycy nie muszą studiować Czarnowskiego, by zobaczyć tu swą szansę; a i Carla Schmitta czytać nie muszą, by sięgać po politykę, polegającą na wskazywaniu wroga, na którego, rosnące zasoby gniewu, mogą – winny – się wyładować...

Rozwiewa się iluzja, że toksyny nierówności można unieszkodliwić dzięki napędzanemu edukacją awansowi społecznemu. I że edukacja może ten awans podtrzymać. Najbardziej prestiżowe uczelnie – wydające najbardziej prestiżowe dyplomy, najhojniej obdarzające społecznymi przywilejami i kompensujące społeczne deprivacje – rok w rok i krok po kroku, konsekwentnie i niestrudzenie, odpływają od „społecznego rynku”, dystansując się coraz bardziej od mas młodziży, w której roznieciły nadzieje pięknej kariery. Jak pisze w „New York Timesie” z 16 marca 2012 roku William D. Cohan, przez 20 lat czesne i opłaty rosły corocznie o 5 proc., by w 2011 r. sięgnąć 52 tys. dol.

Ostatecznie więc, żeby opłacić same studia na Harvardzie, trzeba zarabiać rocznie ponad 100 tys. brutto. A są przecież i inne wydatki domowe – benzyzna, czynsz, żywność, leczenie. W okamgnieniu sumy te osiągną astronomiczne rozmiary.

A jednak... Spośród 30 tys. kandydatów Harvard przyjął w zeszłym roku tylko 7,2 proc. Chętnych, o dziwo, ale nie tak znów bardzo o dziwo, było i jest mnóstwo. Dla tysięcy par rodziców koszty te, acz kolosalne, nie są przeszkodą, a Harvard, lub inna elitarna uczelnia, jest dla ich dzieci oczywistą drogą skorzystania z odziedziczonych praw i spełnienia obowiązku wobec rodziny; jest końcowym szlifem, pozwalającym zająć należne miejsce w zamożnej elicie kraju. Kolejne tysiące i więcej par rodziców gotowe są na wszelkie finansowe ofiary, by tylko ich dzieci dołączyły do elity, a wnuki mogły już uznać miejsce w niej za rzecz im należną.

Dla tych ostatnich, w których rodzicielskie ambicje i wiarę w *American dream* najboleśniej uderzyły uniwersytety, wyrzekające się narzuconej/uzurpowanej roli

promotora społecznej mobilności, ma William Cohan słowa pocieszenia – wierzy, że „najlepsi i najbystrzejsi z nas znajdą zawsze nieuchronną drogę ku szczytom możliwości, **z pomocą lub bez** tradycyjnej edukacji” (wytluszczenie Z. B.). Aby uprawdopodobnić i uwiarygodnić tę obietnicę, przytacza już imponującą, a nadal rosnącą, listę nowych miliarderów – od założyciela Apple’a, Steve’a Jobsa, po twórcę Twittera, Jacka Dorsey’a, i wynalazcę Tumblra, Davida Karpa – z których żaden nie ukończył studiów (rekordzistą jest Karp, wyrzucony z pierwszej klasy liceum; na uczelni nie spędził ani dnia). Ale cóż, skoro nie gwarantuje się zatrudnienia, bezrobotni mogą przecież zawsze zagrać w lotto.

Zapomniany niemal już, ale nader warty przypomnienia pedagog austriacki, piszący pod pseudonimem Ivan Illich, już kilkadziesiąt lat temu ostrzegał, że tak się właśnie stanie. Szkoły, jak i inne wynalazki nowożytnej ery, poddane są, jak sugerował, logice „dwu wodorozdziałów”. Użył przykładu samochodów osobowych dla zilustrowania tej logiki. Gdy je zaczęto produkować i wypuszczono na rynek, samochody otworzyły przed swymi szczęśliwymi nabywcami perspektywę bezprecedensowej ruchliwości: możliwość poruszania się z szybkością, o jakiej im się przedtem nie śniło. Kilkadziesiąt lat później nadeszła wszakże kolej drugiego wodorozdziału. Gdy się dziś podliczy czas niezbędny do zarobienia na kupno samochodu, na jego ubezpieczenie i wydatki na warsztatową obsługę i paliwo oraz doliczy czas spędzany w korkach na zatłoczonych szosach i miejskich ulicach, okaże się, iż właściciel samochodu porusza się ze średnią szybkością pięciu-sześciu kilometrów na godzinę, czyli nie szybciej niż przeciętny piechur przed wprowadzeniem silników spalinowych. Można tę historyjkę przyjąć za alegorię dziejów powojennych szkolnictwa – a już szczególnie szkolnictwa wyższego... Logika „dwu wodorozdziałów” sprawi, jak Illich przewidywał (a dzisiejsza rzeczywistość potwierdza), iż miast oferować swym wychowankom przewagi, jakie nieliczne z początku szkoły i uczelnie obiecywały, będą, co najwyżej, obiecywały pozycję społeczną i zarobki osiągalne niegdyś bez ich pomocy.

Ale wróćmy do obrazu, odmalowanego przez Williama Cohana. Czy był to kolejny przykład szczególnej amerykańskiej sytuacji? Wolno tak się domyślać, wszak jednym z najwyrazistszych składników *American dream* jest przekonanie, że w USA wszystko dzieje się na większą niż gdzie indziej skalę i mogą się tam pojawiać rzeczy prawie nie do pomyślenia w innych, bardziej przyziemnych miejscach. Aby jednak uprzędzić nieporozumienia, skoczmy parę tysięcy kilometrów na wschód od owego Edenu – do Polski, kraju, w którym w minionym 20-leciu miał miejsce kolosalny przyrost liczby wyższych uczelni, ich studentów i absolwentów, ale też skok kosztów kształcenia, czemu towarzyszył równie spektakularny wzrost różnicowania dochodów i wszelkich społecznych nierówności. Oto garść przykładów z mnóstwa podobnych, o których donosiła już 19 marca 2012 roku „Gazeta Wyborcza”.

Dwa lata temu Agnieszka ukończyła prywatną uczelnię, kierunek finanse i bankowość. Kryzys sprawił, że nikt nie odpowiadał na jej CV. – Po kilkunastu miesiącach poszukiwań znajoma zaproponowała mi to stanowisko –

mówi. – Potrzebowali w recepcji osoby z dobrą znajomością niemieckiego. Ale i tu, bez znajomości, by mnie nie przyjęli. Nie ma dnia, żeby ktoś po studiach nie zostawił w recepcji CV – opowiada. Tomek, absolwent administracji na prestiżowej prywatnej uczelni w Warszawie, miał jeszcze mniej szczęścia. Po kilku miesiącach poszukiwań został ochroniarzem na osiedlu. Zarabia 1,2 tys. zł. Jego kolega z uczelni szuka pracy od trzech miesięcy. Adrian wcale nie marzy o wielkiej karierze. – Wystarczyłaby zwykła praca biurowa, może księgowość – mówi. I dodaje: – Jak nic nie znajdę, to za kilka miesięcy wezmę jakąkolwiek pracę. Żeby tylko była. Coraz więcej młodych magistrów chowa dyplom do kieszeni i decyduje się na pracę niewymagającą specjalnych kwalifikacji. Kurier, sprzedawca, taksówkarz to zajęcia, które wykonują absolwenci studiów wyższych. Są też kelnerami: – Dwa tys. zł pensji i drugie tyle z napiwków – pisze na forum internauta. – Nie ma co się wstydić, w restauracjach potrzebują osób ze znajomością języków obcych, by obsługiwać turystów. Lepsza taka praca niż żadna.

Od rzeki Hudson po Wisłę widać i słyhać to samo – ten sam ogłuszający trzask zamykających się z hukiem drzwi, ten sam odstręczający obraz piętrzącej się sterty zawiedzionych nadziei. W naszych społeczeństwach, gdzie, jak słyszymy, gospodarkę napędza wiedza i karmi informacja, a sukces zależy od edukacji, wiedza przestaje być rękojmią powodzenia, a wykształcenie nie dostarcza gwarantującej sukces wiedzy.

Rozwierają się naraz dwie iluzje – jedna, że toksyny nierówności można zneutralizować, udomowić, unieszkodliwić dzięki napędzanemu edukacją awansowi społecznemu, oraz druga, groźniejsza, że edukacja może ten awans podtrzymać. Rozpad iluzji zapowiada kryzys edukacji, jaką znamy. Ale też dewaluację powszechnie stosowanej wymówki, usprawiedliwiającej istniejące nierówności. Przez długie lata świetny dyplom świetnej uczelni był najlepszą inwestycją kochających rodziców w przyszłość dzieci i dzieci ich dzieci. A przynajmniej tak się powszechnie uważało. Wiara ta – jak tyle innych składających się na amerykańskie (i nie tylko amerykańskie) marzenie o drzwiach szeroko otwartych dla wszystkich ciężko pracujących ludzi, którzy chcą je otworzyć i trzymać otworem – legła dziś w gruzach.

Kurczy się rynek pracy dla osób z wyższym wykształceniem, szybciej nawet, jak się zdaje, niż dla tych, którzy nie mogą uniwersyteckim dyplomem podnieść swojej rynkowej wartości. Dzisiaj nie tylko tym, którzy zaniedbali stosowne wysiłki i stosowne poświęcenia, zamyka się drzwi przed nosem. Przed podobnym problemem stają ci, którzy zrobili wszystko, co wedle nich niezbędne do osiągnięcia sukcesu – im też każe się odejść z pustymi rękami. Ale to, oczywiście, jak mawiają Amerykanie, *a new ball game*.

„Awans społeczny przez edukację” służył przez lata za listek figowy, skrywający naga/skandaliczną nierówność położenia i szans. Dopóki osiągnięcia na studiach współgrały ze społeczną gratyfikacją, ci, którzy nie wspięli się wysoko po społecznej drabinie, mogli winić tylko siebie i tylko na siebie przelać swą gorycz i gniew – a szczęściarze tłumaczyć mogli swe powodzenie tym, że lepsze kariery zarezerwo-

wane są dla tych, którzy lepiej pracują, a szczęśliwy los czeka tych, którzy go pilną nauką w pocie czoła do tego zmusili. Jeśli zaś przypadł ci zły los, widać nie tak dobrze się uczyłeś i pracowałeś, jak należało.

Jednak dziś pochwała wiecznych i stale rosnących nierówności brzmi nieszczerze. Nieco mniej nieszczerze by chyba brzmiała, gdyby nie głośnie zapewnienia o nadchodzącym „społeczeństwie wiedzy”, w którym wiedza stanie się głównym źródłem bogactwa narodów i jednostek i w którym z tej racji dysponentom i użytkownikom wiedzy przypadnie lwia jego część. Jakże dziwnie, jeśli nie wręcz kłamliwie, brzmieć muszą te twierdzenia w uszach rosnącej liczby posiadaczy uniwersyteckich dyplomów...

Szok, wywołany nowym zjawiskiem szybko rosnącego bezrobocia absolwentów albo zatrudnienia znacznie poniżej ich oczekiwań, uderza boleśnie nie tylko w pnącą się wzwyż gorliwą mniejszość, ale i w znacznie szerszą kategorię ludzi, potulnie dotąd znoszących swój mało atrakcyjny los, bo zawstydzonych tym, że zmarnowali szanse dostępne w obfitości tym, co się do nauki jak trzeba przykładali. Ta szersza kategoria wie już, że wina za jej marny los nie leży po jej stronie...

Trudno powiedzieć, który z tych dwu ciosów może spowodować i spowoduje więcej szkód społecznych, jednak razem i naraz tworzą one wybuchową mieszaninę.

Cohan ostrzega:

Jedną z nauk, jakie winniśmy wyciągnąć z powstania na Bliskim Wschodzie, a zwłaszcza w Egipcie, jest to, że cierpiąca w milczeniu grupa dobrze wykształconych, ale niewykorzystywanych wedle kwalifikacji ludzi, może stać się katalizatorem zaległych społecznych przemian.

Od czasu, gdy to ostrzeżenie opublikowałem, przybyło argumentów na rzecz jego racji.

Czas najwyższy, by na prośby pokolenia „ani-ani” o pomoc, w jakimkolwiek by języku wyrażone, odpowiedzieć – słowem, ale i czynem. Winniśmy im tego – my, którzy im wręczamy świadectwa ukończenia szkół i dyplomy upoważniające ich do... Właśnie, do czego?

*

Żeby przejść teraz, a raczej przeskoczyć, do drugiego z zapowiedzianych tematów: trafiłem przypadkiem w Internecie na wzmiankę o dziewczynce, która wysłała 3 tys. maili w ciągu jednego miesiąca – średnio 100 wiadomości każdego dnia, czyli jedną wiadomość wysyłała mniej więcej co 10 minut swego życia, po odliczeniu czasu przeznaczonego na sen: co 10 minut rano, w południe i wieczorem, podczas mycia zębów, na lekcjach w szkole czy podczas picia herbaty. Jaki to zjawisko miało wpływ na jej życie? Otóż, prawdopodobnie, nigdy nie poświęciła czasu wyłącznie dla samej siebie: na własne nadzieje, obawy, sny. Prawdopodobnie zapomniała już, jak należy żyć. Ona, prawdopodobnie, żyje, myśli, płacze i śmieje się wyłącznie w towarzystwie innych, zapomniała, jak wygląda towarzystwo wyłącznie własne. Nie miała szansy nauczyć się przebywania z samą sobą.

Profesor Jonathan Zimmerman z Uniwersytetu Nowojorskiego twierdzi, że troje na czworo amerykańskich nastolatków spędza każdą minutę wolnego czasu w Internecie: na portalach społecznościowych, w tym Facebooku, na czatach. Jego zdaniem, są oni uzależnieni od natychmiastowej komunikacji z innymi. To nowa forma narkotyku. A wedle już całkiem ostatnich obliczeń, spędzają w towarzystwie takiego czy innego przyrządu cyfrowego, zamiast na rozmowach z innymi istotami ludzkimi, przeciętnie siedem i pół godziny dziennie; jeśli zaś wziąć pod uwagę ich rosnącą umiejętność, tzw. „multitasking”, czyli wielozadaniowości, to nawet ponad dziewięć godzin dziennie...

Jak do tego doszło?

W naszym nieprzewidywalnym i pełnym niespodzianek świecie, który czasem wydaje nam się bardzo obcy, samotność może się wydać czymś przerażającym. Desperacko szukamy więc kontaktu z innymi ludźmi.

Marketingowcy i sprzedawcy walkmanów, które były pierwszym przenośnym aparatem do słuchania muzyki w dowolnym miejscu i czasie, sprzedali ich grube miliony dzięki hasłu reklamowemu „Nigdy więcej nie będziesz sam”. Trafili tym hasłem w dziesiątkę. Miliony ludzi młodych, i nie tak całkiem młodych, cierpiało chyba na samotność; tym tłumaczyć można niesamowitą chwytliwość sloganu. Mało kto postrzegał wówczas, a pewnie jeszcze mniej dziś po latach tresury i zaprawy, samotność jako przywilej: bali się bycia pozostawionymi samym sobie. Bali się być porzuconymi. Szukali ratunku we współobecności innych. Choćby w dźwiękach, które przypominały o ich istnieniu.

Oczywiście, mogli się czuć samotni ze względu na to, że – jak wskazują wszelkie statystyki – domy rodzinne coraz bardziej pustoszeją. Stoły, przy których zbiera się rodzina, zastępuje telewizja albo *fast food* spożywany we własnym pokoju w towarzystwie ekranów komórek i komputerów. Rodzina staje się przypadkową zbieraniną ludzi, z których każdy jest zawinięty we własny kokon, wyizolowany od otoczenia. Niedawne badania amerykańskie wykazały, że 20 lat temu 60 proc. rodzin amerykańskich zbierało się regularnie przy stole podczas kolacji. Natomiast wcześniej, zanim te kolację podano, rodzina często wspólnie ją przygotowywała. Wspólnota spożycwców odtwarzała niejako (ale i wciąż na nowo wskrzeszała) wspólnotę wytwórców... Dziś ten wskaźnik wynosi 20 proc.

Walkmany były tylko wstępną przymiarką do nabierających gęstości i siły nastrojów. Poprzedzały o lat parę, ale i w jakimś sensie zapowiadały, nadejście Internetu – techniki obiecującej *simulacrum* współbycia na tyle wierne oryginałowi, że nie da się już go niemal odróżnić od „rzeczy samej”. Ba!, techniki spełniające upragnione funkcje współbycia o ileż lepiej od „rzeczy samej” – bo uwolnione od niechcianych i coraz bardziej za przykre i nie do zniesienia uważane. Dzięki „portalom społecznościowym” towarzystwo innych istot ludzkich, zapewniające ochronę przed trwogą odtrącenia, wróciło z uchodźstwa czy wygnania, na jakim przepadało. Ale wróciło przez szklany ekran komputera, zamiast pakować się do pokoju przez drzwi, które wolałoby się jednak trzymać pod kluczem. Wróciło więc w przeobrażonej – ugrzech-

nionej, higroskopicznej postaci – oczyszczone z groźnych bakterii i podstępnych wirusów.

Niedługo trwało, by współbycie wirtualne wygrało zawody z tym „realnym”, teraz przekwalifikowanym na *off-line*’owe. Dlaczego? Z paru naraz, jak się zdaje, przyczyn.

Po pierwsze: w każdej chwili, 24 godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu, możesz nacisnąć klawisz i momentalnie, na twoje zawołanie, wystarczy kompanów zapragnąć, by zjawiała się fatamorgana towarzystwa, które przepędza upiora samotności lub spycha go (choć na ileś tam chwil tylko) do lochu podświadomości. Czyżby zawsze przyjaciele byli obok na nasze wezwanie, czekając? Czyżby nasze podejrzenia o nadszyciącej nieubłaganej samotności to przysłowiowe strachy na Lachy? Ktoś, gdzieś, jest w każdej chwili gotów na nasze zawołanie. Nawet jeżeli ten czy inny wirtualny druh odejdzie na chwilę od ekranu, albo i spać się położy, inni go zastąpią – jest ich chmara, z owych pięćuset zmagazynowanych przed zmierzchem zawsze któryś na podorędziu się znajdzie. Odpowie SMS-em na SMS, *tweetem* na *tweet*...

Po drugie i chyba po stokroć jeszcze ważniejsze, kontakt *on-line* jest kontaktem bez kontraktu, bez zobowiązań, będących zmorą spotkań *off-line*... Zaiste, łączność za pośrednictwem Internetu nie wymaga zobowiązania do utrzymania kontaktu. Nie ma tu kontraktu z klauzulą kary za jego jednostronne zerwanie. Nie ma obaw, że przyjdzie się poświęcać, iść na kompromisy czy robić coś, co nam się nie podoba i czego robić nie chcemy, ale musielibyśmy robić, bo ktoś tego od nas oczekuje. Atrakcja współbycia *on-line* w tym, że zerwanie kontaktu jest równie łatwe jak jego nawiązanie.

Ta świadomość cieszy i uspokaja nerwy nawet wtedy, gdy zmuszeni jesteśmy przesiadywać w zatłoczonej sali konferencyjnej czy na nudnym wykładzie. Mamy telefon komórkowy w kieszeni i w każdej chwili możemy wybyć z sali duchowo, pozostając cieleśnie, gdzie nas obowiązek trzyma. Nigdy i nigdzie nie musimy być tak naprawdę i do końca w coś zaangażowani. Zawsze możemy przenieść się gdzie indziej niż jesteśmy. Bez pomocy komórki bylibyśmy zgubieni... Przyzwyczajonym do portatycznych kontaktów na zawołanie i w bezpiecznej od kontrahenta odległości, coraz trudniej nam dać sobie radę ze spotkaniami w świecie *off-line*, twarzą w twarz, spotkaniami całkowitej uwagi wymagającymi i pełnego zaangażowania... Nigdy nie byliśmy wolni do tego stopnia, jak teraz, twarzą do monitora. Ale przebywać w świecie, pozbawionym sposobu na wyniesienie się z niego w dowolnej chwili, jest nam coraz trudniej.

Ale i na tym dobrodziejstwa techniki do współbycia wirtualnego jeszcze się nie kończą. Sięgają obszarów najintymniejszych z doznań... Dzięki wynalazkowi firmy informatycznej Nintendo, grze „Love+” do instalowania na telefonach komórkowych, można posiadać nawet wirtualną „girlfriend”... Oprogramowanie pozwala na wybranie przy pomocy kodów kreskowych dziewczyny marzeń, z którą właściciel smartfonu może pójść na spacer, albo ją zabawiać zalecankami, nawet pokłócić się – oczywiście bez ryzyka takich kłótni do bijatyki wiodących, jakie w świecie *off-line*, ku naszemu utrapieniu, się czasami zdarzają.

Pod wieloma względami wirtualna „girlfriend” upodabnia się do prawdziwej. Wymaga uwagi, ma swoje preferencje, gusta, chodzi spać o określonej porze, nie chce być budzona. Prawie jak w życiu. Ale ma jedną zaletę, której nie mają prawdziwe dziewczyny – można ją wyłączyć w dowolnym momencie; prawdziwe dziewczyny tego nie lubią. „Love+” nie obiecuje „więcej” miłości (a czy w ogóle można mówić o „więcej” czy „mniej” miłości? Czy miłość ma „ilość”, jak groszek w puszcze czy pęto kielbasy na wadze?). „Love+” obiecuje „miłość” bezpieczną – same radości, żadnych przykrości. Jeśli partnerka ma fochy i bryka, można jej się pozbyć bez trudu i wymienić na inną, potulniejszą. Odpada mitręga zabiegania o jej względy, pułapki negocjacji i kompromisów, katusze zmyślenia usprawiedliwień i wymówek – obojdem się bez wyrzeczeń i ofiar... No, a jeśli nie smakuje tak, jak się człowiek spodziewał, albo jeśli nowych rozkoszy już się po niej spodziewać przestał, też kłopotu nie ma. Krótko mówiąc: „Love+” zapowiada „miłość” „oczyszczoną” z dolegliwości, bez jakich miłość nie-wirtualna rzadko kiedy obejść się potrafi. Czysty zysk bez strat, i bez ryzyka wpadunku. „Love+” uwodzi swych entuzjastów nie tym, co przyrzeka ofiarować, ale tym, czemu obiecuje pozwolić zapobiec i czego obiecuje zaniechać...

Nowoczesność obiecała minimalizację wysiłku i maksymalizację wygody; drogę na skróty od pragnienia do zaspokojenia. W olbrzymiej liczbie przypadków obietnicy dotrzymała. Sęk w tym jednak, że nie ma zysku bez strat. Nie wszystko, co do życia szczęśliwego potrzebne, da się od wysiłku, pokonywania przeszkód, zmagania z przeciwnościami losu i samopoświęcenia uwolnić: są wśród składników szczęścia i takie, dla których właśnie zapamiętały wysiłek i triumf nad przeciwnościami losu są warunkiem niezbędnym: ba!, jest owym doznaniem, jakie szczęśliwością człowieka obdarza. Doskonałość własnego tworu, powstałego z pokonywania trudności, jest jedną z takich rzeczy. A wśród nich prym wiedzie miłość spełniona. Bo z przyrodzenia nie jest ona przedmiotem znalezionym i nigdy nie jest tym, co się przeżywa z mieszaniną pożądania i zawstydzenia, „ready-made”; może być tylko dziełem upartej i wytrwałej, zapamiętałej, gotowej na trudy (i niepowodzenia, i porażki) twórczości. Wiem, to w świecie supermarketów brzmi staroświecko... Ale, jak powiadali starożytni, *hic Rhodos, hic salta*. Albo, jak powiadali nie całkiem znów starożytni: tu jest pies pogrzebany. Albo znów jak orzekali, bez ogródek a brutalnie, nowożytni: *take it or leave it...*

Rosyjskie przysłowie zauważa: „kto się wilków boi, do lasu nie chodzi”. Ale wszak do lasu człowieka ciągnie... Gdyby tylko dało się wilkom powyrywać kły i stępić pazury! Kto się obawia ofiar, jakie przyjdzie ponosić, być może, współżycia gwoli, skazany będzie na samotność, a samotność to piekło, nawet towarzystwa diabłów z widłami pozbawione. Więc z kolei marzy się człowiekowi ucieczka, no i uciekłby człowiek, znalazłby sobie współtowarzysza doli i niedoli, gdyby nie strach przed usiłowaniem i rąk związaniem... Współtowarzysz z błysków na ekranie sklecony, bez sznura i bez sznura do wiązania rąk, zdaje się wtedy darem niebios: i do lasu można pójść, i wilków, bo bezzębne, się nie bać.

„Bycie z” a „bycie dla” (czyli takie, które odróżnia zaangażowanie miłosne od zwykłego współżywania) to całkiem nie to samo. Ludzie współżyją ze sobą niekonicz-

nie z pobudek miłosnych; tyle, że ogołcone z miłości, a przynajmniej głębokiej przyjaźni typu „aż śmierć nas rozdzieli” współzycie jest, najczęściej, z radości wyzbyte, a nierzadko w koszmar się obraca. Nasi przodkowie bardziej od nas byli na boleści i cierpienia żywota wytrzymali i do niewygód nawykli; ba!, uważali boleści i niewygody za nieodłącznych kompanów życia – za część bożego stworzenia, nieodzowną i nieuniknioną, niedającą się od reszty odseparować i z życia wyprowadzić, a nie za osobistą zniewagę i upokarzający, godności własnej uwłaczający dowód własnego niezgulstwa, braku sprytu, niezaradności, głupoty czy naiwności... Życie jako pasmo nieustających doznań przyjemnych (i tylko takich!) jest bardzo późnym w dziejach ludzkich wynalazkiem. W rzeczy samej, całkiem niedawnym.

Zejscie się dwojga ludzi z zamiarem wspólnego życia zawsze było i chyba zawsze będzie momentem traumatycznym. Schodzą się wszak ze sobą dwie odmienne biografie, dwa odmienne zestawy przyzwyczajeń i upodobań, dwa odmienne środowiska i odmienne zbiory przyjaciół... Ileż tu trzeba przepetraktować, „dotrzeć”, uzgodnić, przyciosać i dopasować; z ilu drogich sercu zajęć trzeba będzie, przynajmniej po części, zrezygnować, składając je w ofierze ukochanej osobie! Nie ma co ukrywać – pierwsze miesiące, a niekiedy i lata wspólnego życia pełne będą swarów i niesnasek, wzajemnego boczenia się na siebie, a często-gęsto i pokus machnięcia ręką i powrotu do spokojnego życia (popularny wśród dzisiejszych młodych Amerykanów jest postulat „I need more space” – czyli, w tłumaczeniu na prosty język, „odczep ty się ode mnie i wara ci od moich spraw”). Taki okres „burzy i naporu”, nieporozumień i stale tłących się konfliktów jest udziałem wszystkich lub prawie wszystkich młodych par. Tyle że to, co z owej powszechnej sytuacji wynika, zależy w ogromnej mierze, jeśli nie całkowicie, od nastawienia partnerów. Jeśli chcą żyć ze sobą aż śmierć ich rozdzieli i bez względu na psoty, jakie przyszłość może jeszcze mieć w zanadru, nie cofną się przed swym zamiarem z powodu pierwszego z brzegu konfliktu, choćby i ostrego i, zdawałoby się w pierwszej chwili, nie do pogodzenia. Będą nad swym współzyciem pracować, rzetelnie się nad nim potrudzą, a i dopracują się, prędzej czy później, „modus vivendi” dla obojga satysfakcjonującego. W końcu, nie potrafią już sobie przypomnieć, o co właściwie się tak zażarcie kłócili – a jak się im przypomni, to śmiechem zgodnie wybuchną... No, ale jeśli schodzą się ze sobą partnerzy „na próbę” („pożyjemy tymczasem razem, a tam się zobaczy, co z tego wyniknie”) – wtedy najdrobniejsza różnica zdań urośnie do gigantycznych i zatrzważających rozmiarów, a każda myszka góry będzie rodzić. Po diabła starać się reperować coś, co tak oczywiście zepsute? Nie lepiej (prościej, wygodniej, łatwiej) rozejrzeć się za spolegliwszym partnerem?

Potrzeby przyjaźni, jak i potrzeby miłości, nie można „dowieść”... Oba te uczucia i wynikające z nich relacje są wsparte na tym samym fundamencie: na *szacunku* do innego człowieka... A znów nakaz szacunku jest elementem postawy moralnej, i podobnie innym wartościom moralnym, nie sposób dowieść konieczności jego przyjęcia. O tym, że coś jest wartością, można tylko przekonywać, perswadować, przemawiając do sumienia rozmówcy. A nie pomogą tej naszej przemowie argumenty empiryczne czy powoływanie się na imponujące listy uwierzytelniające. Jeśli

do szacunku dla innej ludzkiej istoty skłaniać będziemy napomnieniem, że większość się po stronie takiego szacunku opowiada, domagać się będziemy od rozmówcy nie moralności, lecz instynktu stadnego. Jeśli wskazywać będziemy, że rozmówca winien okazywać szacunek innym, jeśli chce, by inni odpłacili mu się tą samą monetą i podobny mu okazali szacunek, odwoływać się będziemy do samolubnej troski o interes własny, któremu z moralnością rzadko po drodze. Jeśli, wreszcie, domagać się będziemy od rozmówcy posłuszeństwa dla nakazu szacunku, nie z racji walorów *szacunku*, lecz z tego tytułu, że jest on *nakazem* właśnie, i to takim, jaki ze względu na dysproporcję sił mógłby nasz rozmówca kwestionować tylko na własną jego zgubę, odwoływać się będziemy do instynktu samozachowawczego, a nie do otwarcia się na dobro innego człowieka, które jest znamieniem wszelkiej moralności, a więc także i szacunku jako składnika postawy moralnej. Jak słusznie Albert Camus zauważył, nic nie jest bardziej godne pogardy, niż szacunek na strachu oparty.

Można by powiedzieć, na wpuł serio wprawdzie, choć nie całkiem znów żartem, że w naszych czasach, dręczonych plagą samotności albo obawy przed samotnością (przed wykluczeniem, porzuceniem przez partnera, eksmisją czy wypadnięciem z towarzystwa, pozbawieniem pozycji społecznej lub odmową uznania, pozostaniem w tyle za innymi), „poczucie bezpieczeństwa”, z jakim kojarzy się idealny obraz rodziny (w jakim miejsce w sercach, głowach i przy stole jest zapewnione i nie trzeba swego doń prawa dochodzić, wciąż na nowo, wymyślnymi testami), i właściwie żaden już inny, nabiera blasku jak nigdy dotąd – nęci i wabi z taką mocą, że znakomita większość ludzi o mało czym marzy bardziej i mało co stawia równie wysoko w swym programie życia szczęśliwego... Ale z tego samego powodu stawia owa większość rodzinie wymogi, jakim przeciętna „rzeczywiście istniejąca rodzina” nie zdolna jest sprostać... Oczekuje się po rodzinie, że weźmie na siebie zadanie zagwarantowania trwałego i prawowitego, bezpiecznego „miejsca w świecie”, którego już, właściwie żadnemu innemu, gronu ludzkiemu nie da się powierzyć i zaufać, i którego spełnienia od żadnego innego grona nie można oczekiwać. O rodzinie myślimy coraz częściej jako o ostatnim wiarygodnym bastionie osobistego bezpieczeństwa lub ostatniej linii okopów na szlaku odwrotu od nieprzyjaznego czy niegościnnego świata. Ale ciężar tak olbrzymich oczekiwań mało która rodzina zdolna jest udźwignąć... Zważywszy ogrom mocy sprzymierzonych przeciw wszystkiemu w świecie co solidne, trwałe i raz na zawsze zapewnione, zadanie to ponad jej siły. Gdy się takie nadzieje z ideałem rodziny wiąże, niemal każda „rzeczywiście istniejąca rodzina” obleje prędzej czy później egzamin z praktyki. Tyle że z braku oczywistej alternatywy, ideał wyjdzie z nieudanej próby praktycznej bez szwanku, lub lekko tylko nadwerężony: nie na tyle, by nie próbować raz jeszcze – tym razem się nie powiodło, ale, mądry po szkodzie, będą bardziej czujny i ostrożny, więc może następnym razem się uda...

Rynki konsumpcyjne, w tej jak i w każdych innych kryzysowych sytuacjach, spieszą z pomocą. Rodziny, jaka przytuli, a nie skrupuje, tam nie kupisz, ale środki uspokajające zbulwersowane sumienie zalegają wszystkie sklepowe półki. Każdy sklep, czego by na półkach nie składał, jest dziś apteką z lekarstwami na męki wyboru między tym, co kusi, a tym, co nęci... A głównie na wyrzuty sumienia, że się

o ukochaną albo ukochane osoby nie zadbało tak gorąco, jakby termostat miłości nakazywał, no i że swej miłości do nich nie udokumentowano im tak, jak udokumentować należało. Obdarowywanie bliskich czy w życiu ważnych w piątek i świątek (ale już obowiązkowo w świątek!), przytarganymi z przepelnionych sklepów modnymi błyskotkami, jest nie tyle sprawdzianem miłości (jak reklamiarze usilnie nam wmawiają, a my skłonniśmy naiwnie wierzyć), co namiastką rzeczy samej czy raczej środkiem uspokajającym sumienie nękanie wyrzutami, że się w czasie pomiędzy jednym świątkiem a drugim ukochaną osobę zaniedbało (angielska mądrość ludowa orzeka, że „grzeszne sumienie nie potrzebuje oskarżyciela” – samo się wina...); że się jej nie poświęciło tyle czasu, ile miłość żąda, i ile by się nie chciało nam, zalatanym, w pogoni za wiecznie pilnymi sprawami, nigdy nierozstającymi się z komórką, by w każdej chwili być na zawołanie szefa, i ciułającymi pilnie „kasę”, by w najbliższy świątek nie zabrakło nam pieniędzy na kolejne „namiastki miłości” dla ukochanych... Im bardziej kochamy, tym mocniejszych środków łagodzących bóle sumienia potrzebujemy; raz zażywszy tych chemikaliów, już odstawić ich nie możemy, a dawek potrzebować będziemy rosnących. Już się o to dostawcy konsumpcyjnych atrakcji postarają, tak jak postarali się przed laty, z jakże pomyślnym dla się skutkiem, żeby do skosztowania pierwszej porcji nas namówić...

Owies i siano w dwu żłobach złożonych były niegdyś udręką, zarezerwowaną dla osiołków. Nasze pokolenie jest chyba bardziej od swych poprzedników zdolne wczuć się w osiołkowe męki, choć, rzecz jasna, nasze męki z konieczności wyboru nie między owsem a sianem, a nawet włoskimi czy francuskimi smakolykami się rodzą. By się do popularnej terminologii naszej ery cyfrowej uciec, rzecz można, że losy etyki i jaźni moralnych ważą się dziś „na interfejsie onlajnu i oflajnu”...

No więc, bierzmy się do roboty, by im w ich zmaganiach z losem dopomóc. Czas najwyższy.

BIBLIOGRAFIA

- Bauman, Z. (2011). *Niepewna przyszłość merytokracji*. Pobrane 28 maja 2012, z: http://wyborcza.pl/magazyn/1,124059,9324083,Niepewna_przyszlosc_merytokracji.htm
- Brzostek, D., Pawłowska-Salińska K. (2011). *Wykształcona klasa robotnicza*. Pobrane 28 maja 2012, z: http://wyborcza.pl/1,76842,9282949,Wyksztalcona_klasa_robotnicza.html
- Saliba, F. (2011). *Pas de rentrée pour les „Ni-Nis”*, *Le Monde*. Pobrane 16 lipca 2013, z: http://www.lemonde.fr/idees/article/2011/08/27/pas-de-rentree-pour-les-ni-nis_1564344_3232.html